

STOP

Nie uwierzycie mi.

Powiecie, że straciłem rozum albo że przeszedłem o jeden wstrząs mózgu za dużo. Może będziecie próbowali przekonać samych siebie, że was wkręcą i że uczestniczycie w jakimś skomplikowanym dowcipie. Cóż, nie ma sprawy. Wierzcie sobie, w co chcecie, jeśli tylko pozwolili wam to spać spokojniej. Bo właśnie o to chodzi, czyż nie? O otaczanie się przytulną siecią rzeczywistości na wzór pracowitych małych pajęczków i trzymanie się jej kurczowo, abyśmy mogli przetrwać najgorsze.

Bo ostatnimi czasy świat nas nie rozpieszcza, prawda? Daje nam popalić. Świat się zmienia – ziemia drży w posadach i usuwa nam się spod stóp. Może się to wydarzyć w chwili, której potrzebuje wysiadający z samolotu podróżny, by kichnąć. Albo w czasie, który upływa do momentu, gdy człowiek ze zmiażdżoną tchawicą przestaje oddychać.

Widziałem to wszystko podobnie jak wy... wiem jednak również inne rzeczy. Wiem o wywracających świat do góry nogami wydarzeniach, których nie zdołają wytropić serwisy informacyjne ani naukowcy. O zmianach, o których nikt na ziemi nigdy się nie dowie.

Ale jak już wspomniałem, nie musicie kupować niczego, co powiem. Właściwie to byłoby dla was lepiej, gdybyście tego nie robili. Przekonujcie więc samych siebie, że to tylko zwykła opowieść. Tkwiąc bezpiecznie w swojej sieci. Złapcie kilka much. Żyćcie marzeniami.

Nazywam się Ash. I chociaż tyle rzeczy się zmieniło, to przynajmniej to jedno – moje imię – pozostało niezmiennie. To stała, wokół której obraca się reszta mojego uniwersum – i jestem za to wdzięczny.

Nieco mniej interesujący fakt: Ash to skrót od Ashley – imienia, które jak wciąż powtarza moja babcia, było niegdyś „bardzo męskie”. Takie otrzymał na chrzcie jej brat. Z tego, co wiem, został tak nazwany na cześć jednego gościa z *Przeminęło z wiatrem*, bo miał pecha urodzić się w roku 1939, kiedy ten film wszedł na ekrany kin – działo się to na długo przed tym, zanim ludzie byli gotowi przyznać, jak bardzo był rasistowski. Ashley miał brata bliźniaka imieniem Rhett, który zmarł na polio. A wiecie, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? Aktor, który grał w filmie Ashleya Wilkesa, nazywał się Leslie Howard. Leslie! Nie odpuścili biedakowi nawet w filmie.

Miewam problemy z powodu mojego imienia tylko raz w roku, kiedy pierwszego dnia szkoły nauczyciele, którzy mnie jeszcze nie znają, sprawdzając listę, szukają dziewczyny. Każdy, kto był na tyle głupi, żeby w jakiś durny sposób skomentować moje imię, miał okazję dowiedzieć się, jak bardzo może boleć skopany przez niżej podpisanego tyłek, więc ludzie w szkole nauczyli się w końcu odpuszczać. Tak czy inaczej, Ash brzmi moim zdaniem całkiem nieźle. I tylko wyżej wspomniana babcia nazywa mnie Ashley.

Chociaż ta opowieść zaczyna się i kończy futbolem, to właśnie to, co pomiędzy, liczy się naprawdę. Niczym soczysty kęs mięsa pomiędzy kromkami chleba, którego – ostrzegałem! – nie będziecie w stanie przełknąć, nie mówiąc już o jego strawieniu. Napijcie się mleka. To wam dobrze zrobi na żołądek.

Stwierdzenie, że futbol to moje życie, byłoby odrobinę naciągane, ale prawdą jest, że kręci się wokół niego znaczna jego część. Grałem od małego i należałem do szkolnej drużyny Tibbetsville Tsunamis. Nic nie mówcie. To nie moja wina. Wcześniej drużyna nazywała się Blue Demons, ale rok temu jakiś świętszy od papieża typ na radzie szkolnej podniósł o to wielki raban, twierdząc, że to „oburzające”, i uparł się, żeby zmienić nazwę. I tak oto nasza maskotka z wyszczerzonego błękitnego demona, który nic nigdy nikomu nie zawinił, zmieniła się w wyszczerzoną błękitną falę, która zabiła osiemset tysięcy ludzi w Azji Południowo-Wschodniej i uczyniła sushi w Japonii radioaktywnym. Jakimś cudem to mniej uraża czyjeś uczucia. Cóż, przynajmniej mamy fajne kaski.

Futbol może i mógłby być całym moim życiem, gdybym był biegaczem, skrzydłowym albo – moje największe marzenie – rozgrywającym. Niestety, nie jestem dość szybki. Ani zwinny. Nie jestem „poezją w ruchu”. Raczej „poezją w unieruchamianiu”. Jestem tęgi. W sensie: nie spasiony, ale postawny i krzepki. Jak dąb. I właśnie dlatego jestem fantastycznym blokującym obrony.

Blokujący i wspomagający obrony – to my odwalamy całą brudną robotę na boisku i nie oczekujemy za to pochwał, ale jednocześnie stoimy za wszystkimi zwycięstwami i przegranymi. To trochę tak, jakby rozgrywający był liderem kapeli i miał o sobie tak wysokie mniemanie, że chce śpiewać tylko solo i żąda, by do garderoby dostarczano mu wyłącznie niebieskie M&M’sy. Biegacz i skrzydłowy to jak gitarzysta i basista. A liniowi? W tym blokujący jak ja? My jesteśmy sekcją rytmiczną. Perkusistami, którzy nadają rytm, ale zawsze są gdzieś w tle.

Nie mam z tym jednak problemu. Nigdy nie pragnąłem być w centrum uwagi. Uwielbiam po prostu tę czystą energię towarzyszącą grze – kocham to uczucie, gdy przedzieras się przez linię ataku. Podobnie jak trzask pękających kasków. Zapamiętajcie to sobie, bo ten wątek wróci.

Słynąłem ze swoich zatrzymań. Z powaleń. Rzadko dostawałem flagę za przewinienia i byłem z tego dumny. Robiłem wszystko, jak trzeba – i robiłem to naprawdę dobrze. Z tego, co mi wiadomo, nikt nigdy nie doznał przeze mnie wstrząsu mózgu, ale niejednego porządnie posiniaczyłem i sam bywałem nieźle poobijany. Czasem naprawdę poważnie, jednak nigdy nie narzekałem. „Rozchodź to” – to było motto naszej rodziny.

„Ciesz się tym, póki możesz – poradził mi kiedyś ojciec. – Bo wszystko skończy się szybciej, niż myślisz”.

Mój tata też grał w szkolnej lidze. Liczył na stypendium, ale nigdy go nie otrzymał. Zamiast tego podjął więc pracę w firmie mojego wujka, w której zajmuje się sprzedażą części samochodowych. „Rozchodził” to. Dzięki temu oraz pieniądzom, które moja mama zarabia jako dietetyczka, radzimy sobie całkiem nieźle. Bogu niech będą dzięki za fast foody! Dzięki nim klienci ciągną do mojej mamy jak muchy do miodu.

No i tak to właśnie wyglądało. Lekarze nazywają to „stanem wyjściowym” – parametrem będącym punktem odniesienia dla pomiarów odchyień. Tak właśnie wyglądało normalne życie, zanim wszystko wzięło w łeb tak skutecznie, że właściwie nie było wiadomo, czy jest co zbierać.

[...]

Pierwsze pięć minut meczu to była czysta energia, bo nie mogliśmy się nacieszyć, że jesteśmy znów na murawie przed wiwatującymi trybunami. Wildebeests grali podręcznikowo, ale brakowało im fantazji: dobry przeciwnik, na którym można się wyżyć. W sam raz na rozpoczęcie sezonu. Nie zdobyliśmy żadnego punktu aż do rozpoczęcia drugiej kwarty, ale byliśmy pewni naszego zwycięstwa. I wówczas Layton Vandenboom, nasz rozgrywający, spieprzył podanie, które zostało przechwycone. Od razu zaczął się tym zadręczać (i zazwyczaj robił to jeszcze przez następny tydzień niezależnie od tego, czy wygraliśmy, czy przegraliśmy), ale do akcji weszła linia obrony. Czyli między innymi ja, jeśli do tej pory nie zajarzyliście.

Wildebeests mieli parszywego rozgrywającego stynącego z latania na skargę do sędziów z każdą pierdołą. Powalenie ich skamlącego skarżypyty byłoby bardzo satysfakcjonujące.

I tak oto obie drużyny zajęły pozycje na linii wznowienia gry i zaczęła się zabawa. Piłka została wprowadzona do gry, a ja ruszyłem do boju. Podczas szarży należy celować w ramiona. Chociaż celowanie w kask nie jest zabronione, powinno się raczej unikać takich starć, ale czasem po prostu się nie da. Różne rzeczy się zdarzają. A jako że osobiście uwielbiałem to uczucie, gdy aż gwiazdy stawały człowiekowi przed oczami, nigdy nie miałem nic przeciwko porządnemu przywaleniu komuś z bańki. Tak jak już wspomniałem: moją superbohaterską mocą było powalenie pełną parą – to było coś, co być może mogłoby mi zapewnić stypendium, którego nigdy nie dostał mój ojciec.

Ale to starcie skończyło się inaczej.

Znacie pewnie to uczucie, kiedy zaskoczy was jakiś dźwięk? Czasem bywa wówczas tak, że wasz zbity z tropu mózg serwuje go wam w towarzystwie widmowego rozbłysku. I tak właśnie było w tym przypadku – tyle tylko, że zderzeniu towarzyszyła fala widmowego zimna. Nie powiew powietrza czy dreszcze, jak przy gorączce – coś bardziej jakby lodowata woda zastąpiła nagle krew w moich żyłach, ale tylko na ułamek sekundy. Potem to uczucie zniknęło, a ja leżałem na murawie. Zablokowałem skarżypytę Wildebeestsów wciąż trzymającego w dłoni piłkę, a tłum wiwatował.

Nie pamiętam nawet, co się wydarzyło między zderzeniem z liniowym a dotarciem do rozgrywającego. Całkiem jakbym się tam teleportował.

Dwanaście jardów straty dla Wildebeestsów. Skarżypyta zaczął oczywiście jęczeć, że sędzia powinien rzucić żółtą flagę, ale tak się nie stało, bo nie doszło do naruszenia zasad. Nic niezwykłego poza tym zimnem, którego już nie czułem, a które było niesamowicie namacalne. Co się właściwie, do jasnej cholery, wydarzyło?

Piąteczki, zderzenia poślądkami, żółwicy – i powrót na linię. Tyle tylko, że dopadło mnie coś na kształt bólu głowy. Nie prawdziwa migrena... coś bardziej jak ćmienie. Brzęczało mi w głowie jak wtedy, kiedy dzwoni w uszach. Taki elektryczny szum. „Rozchodź to”, pamiętacie? No więc tak zrobiłem – i nie myślałem o tym przez resztę meczu.

[...]

Tamtego wieczoru odwoziłem do domu Norrisa, który jeszcze nie zrobił prawka. Ostatnio prawie zdał, ale na sam koniec otrąbił staruszkę na pasach.

– Ten gość z wydziału komunikacji wziął się na mnie – skarżył się Norris. – Dałbym sobie rękę uciąć, że ta staruszka to był zwykły krzak!

– Dodaj to po prostu do swojej kolekcji teorii spiskowych – poradziłem mu, bo miał ich imponujący zbiór.

– Nie śmieć się – obruszył się. – Prawda jeszcze wyjdzie na jaw!

I wtedy niemal nas zabiłem.

Rzeczy, które zmieniają twoje życie – zmieniają twój świat – rzadko poprzedza ostrzeżenie. Uderzają w ciebie niczym ciężarówka na skrzyżowaniu. W futbolu nazywamy to podcinaniem – to surowo zabroniony manewr. Grożą za to poważne kary. Niestety, wszechświat nie gra według zasad – a przynajmniej nie takich, które mają sens dla tych z nas, których obowiązują prawa czasu czy fizyki.

Wspomniana ciężarówka wpadła na skrzyżowanie tuż po tym, jak wjechałem na nie spokojnie, do czego miałem wszelkie prawo. Zatrąbiła na nas, a ja wiedziałem, że wduszenie hamulca spowoduje krwawą kraksę, więc zamiast tego dałem gaz do dechy, aby wynieść się jej sprzed nosa. Nie zwolniła, pędząc przez skrzyżowanie. Minęła nas dosłownie o włos.

Dopiero teraz wdusiłem hamulec. Zanim samochód się zatrzymał, przejechaliśmy ze dwadzieścia metrów, a cholerna ciężarówka pognęła dalej w swoją stronę. I chociaż się zatrzymaliśmy, ścisnąłem kierownicę tak mocno, że aż zbieleły mi knykcie. Próbowałem się upewnić, że nadal żyjemy.

– Jezu Chryste, Ash, co z tobą, do cholery? – wykrztusił Norris, gdy było już po wszystkim. – Chciałeś nas zabić?

– Tylko ciebie – odpowiedziałem. – Nie udało się.

Liczyłem na to, że cięta riposta wprowadzi odrobinę normalności, ale na próżno.

A wtedy Norris dodał:

– Nie zauważyłeś znaku „stop”?

– Nie, nie zauważyłem. Bo go tam nie było.

Ale kiedy obejrzałem się przez ramię, dostrzegłem tył znajomego, ośmiokątne kształtu. Wróciłem myślą do jazd próbnych. Nasz instruktor mówił, że większość wypadków jest spowodowana ludzką pomyłką. Dzisiaj ja byłem jej ucieleśnieniem.

Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze był świadkiem mojej porażki jako kierowcy. Jediną osobą w zasięgu wzroku był chudy gość na deskorolce. Przejechał obok nas, najwyraźniej nieświadom, że dosłownie przed chwilą mogło dojść do wypadku (potem się okazało, że wcale nie był niczego nieświadom, ale wówczas jeszcze o tym nie wiedziałem. W tej chwili wydawał mi się tylko gościem na desce. Kimś, kogo można zignorować. Zapomnieć o nim. Póki co).

Wcisnąłem pedał gazu i ruszyłem powoli. Tym razem jechałem znacznie ostrożniej niż wcześniej. A mimo to, pomimo całego mojego skupienia, niemal przeoczyłem kolejny znak „stop”. Zahamowałem – nie na tyle gwałtownie, by zaalarmować Norrisa, że znów niemal to zrobiłem, ale dość, by cały szajs z tylnego siedzenia zsunął się na podłogę. I wtedy to do mnie dotarło – coś, co przegapiłem na poprzednim skrzyżowaniu, bo tamten znak „stop” był już za mną, gdy się obejrzałem. Wtedy dostrzegłem tylko jego metalowe plecy.

Bo widzicie, podczas kierowania samochodem niektóre rzeczy zaczyna się w pewnym momencie robić automatycznie. Nie myślisz o zerkaniu w lusterko czy oglądaniu się przez ramię, gdy zmieniasz pas – po prostu to robisz. To się staje twoim nawykiem, drugą naturą. Podobnie jak hamowanie na widok znaku „stop”. Taki znak ma trzy elementy uruchamiające reakcję. Sądzę, że robią to celowo, żebyś tego nie przeoczył. Przede wszystkim kształt. Jest też samo słowo „STOP”. No i jest kolor. Jeśli któregoś z tych trzech elementów brakuje, możesz to mimowolnie zauważyć, ale równie dobrze możesz nie wcisnąć hamulca.

– O co tu chodzi? – spytałem Norrisa, wskazując znak.

– O co chodzi z czym? – odpowiedział pytaniem, jakby kompletnie nie wiedział, o co pytam.

Wskazałem ponownie znak.

– Jest niebieski.

Wówczas Norris spojrzał na mnie, jak gdyby czekał na puentę dowcipu. Gdy się jej nie doczekał, zapytał:

– Co masz na myśli?

No więc powtórzyłem, jakbym rozmawiał z tępakiem:

– Niemal nie zauważyłem znaku „stop”, bo jest niebieski. Od kiedy znaki „stop” są niebieskie?

Norris ponownie popatrzył na mnie dziwnie, jakby czekał na wyjaśnienia.

– Co ty wygadujesz? – spytał wreszcie. – Znaki „stop” są niebieskie od zawsze.

Kolor znaku „stop” to drobnostka. Nic ważnego w ujęciu szerszej perspektywy. Błahostka. Podobnie jak kolor czyjegoś domu. Gdybym was zapytał o kolor domu waszych sąsiadów, idę o zakład, że nie bylibyście w stanie udzielić mi odpowiedzi, a przynajmniej nie ze stuprocentową pewnością, bo kolor ich domu nie leży w sferze waszych zainteresowań – i nie ma w tym nic dziwnego. Macie ważniejsze rzeczy na głowie. Kolor znaku „stop” nie powinien mieć znaczenia.

Rzecz w tym, że ma.

Moi rodzice byli na meczu, ale po pogratulowaniu mi zwycięstwa pojechali prosto do domu. Kiedy wróciłem, mama pisała post o naszym zwycięstwie, okraszając go krępującymi dla mnie grafikami, a tata oglądał swój ulubiony serial.

– Mamo? – zagadnąłem, starając się ostrożnie dobrać słowa. – Jakiego koloru są znaki „stop”?

Spojrzała na mnie znad swojego laptopa z takim samym wyrazem twarzy jak wcześniej Norris – jakbym zadał jej jakieś podchwytliwe pytanie.

– Niebieskiego – powiedziała. – Są po prostu... zwyczajnie niebieskie.

– A więc... nie występują w żadnym innym wariacie kolorystycznym? – nie dawałem za wygraną. – Na przykład... czerwonym?

Zmarszczyła brwi i wzięła głęboki oddech, jakby wyczuwała pierwsze oznaki nadciągającej awantury. Zamknęła laptop.

– Czy wszystko w porządku, Ash? Dobrze się czujesz?

– Dobrze – zapewniłem ją. – Zadałem po prostu pytanie. Czy coś miałoby być nie tak tylko dlatego, że zadałem pytanie?

Była spokojna, ale ja aż się w środku gotowałem.

– Bo to dziwne pytanie – odparła.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować i wyjaśnić jej, że to pytanie wcale nie było dziwne, jednak wówczas dotarło do mnie, że to bez sensu. Im bardziej upierałbym się przy swoim, tym dziwniejsze wydałoby się jej moje zachowanie.

– Nieważne – skapitulowałem. – Tak tylko pytałem.

I poszedłem do swojego pokoju bez dalszych wyjaśnień – bo nie było właściwie czego wyjaśniać. Próbowałem przekonać sam siebie, że to kompletnie bez znaczenia i że zachowuję się niedorzecznie, ale w tym wszystkim było coś więcej, niż mogłoby się na pozór wydawać.

W materii świata nie da się tolerować nawet najmniejszego luźnego wątku. Albo wszystko działa... albo nie działa nic.

Dziwny ból głowy nie minął, tylko osłabł, a teraz nasilił się ponownie do tego stopnia, że znów go zauważyłem. Pomyślałem, że wezmę coś przeciwbólowego, ale byłem zbyt zaabsorbowany tymi luźnymi wątkami. Usiadłem od razu do komputera i zacząłem szukać zdjęć znaków „stop”. Nie muszę chyba mówić, jaki wszystkie miały kolor: niebieski. Nie powinienem być tym wstrząśnięty, a byłem. I nie chodziło tylko o znaki. Sygnalizacja świetlna miała trzy kolory: zielony, pomarańczowy i... niebieski – czego nie zauważyłem zapewne podczas jazdy tylko dlatego, że miałem akurat zieloną falę.

I pojawiło się jeszcze coś, chyba najdziwniejsze w tym wszystkim: im dłużej patrzyłem na te niebieskie światła i znaki, tym normalniejsze mi się wydawały. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym więcej napływało wspomnień potwierdzających słuszność tego, co widziałem na zdjęciach. Jednak oprócz nich były też wspomnienia czerwonych znaków i czerwonych świateł – a kiedy próbowałem sobie wyobrazić jedno i drugie naraz, w głowie mi rezonowało, jakbym słyszał dźwięk towarzyszący wypuszczaniu powietrza z nadmuchanego balonu przez rozciągany ustnik. W końcu się poddałem i rzuciłem na łóżko. Byłem po prostu zmęczony i tyle. Zmęczony i zdezorientowany po długim dniu. Jutro na pewno nabierze to większego sensu. Minie. Rano obudzę się z myślą, że wszystko jest w porządku. Znaki „stop” zawsze były niebieskie, a mnie chyba nieźle pokręciło, skoro ubzdurałem sobie coś o innym kolorze.